Rok II. Lwów, piątek 3. stycznia 1908. Nr. 293.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOROWIE: ST. TOKARSKI i ST. BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE:		NA PROWINCYI:	
miesięcznie	50 h	mies. z przes. poczt.	1 K
„ z dostawą do domu	1 K	kwartalnie	3 K
numer pojedynczy	2 h	numer pojedynczy	4 h

NR. TELEFONU: 982. Zagranicą 2 franki miesięcznie z przesyłką pocztową. Sprzedaż pojedynczych numerów ul. św. Szymona 2.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. ◆ Redakcya i Administracya Lwów Podwale 7 ◆ Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Co dzień niesie?

Trzy stare, ale zawsze na czasie uwagi nasuwają mi się co do noworocznego dnia.

Najpierw ta straszna żebranina o noworoczne. Gromady najobskurniejszych postaci gonią od domu do domu, tłuką się od drzwi do drzwi, wygłaszają jakieś pijane gratulacye i żądają zato pieniędzy. Rzadko w którym kraju można się spotkać z tyloma wyłżygroszami noworocznemi, co u nas. W Niemczech np., kto chce się puścić na ten proceder, musi mieć zezwolenie od policyi. A policya przy udzielaniu tego zezwolenia powoduje się pewną racyą, daje je stróżom, ograniczając ich na własną kamienicę, listonoszom w ich rejonie służbowym, strażnikom nocnym, ale tylko co do kamienic, których pilnują. I chętnie daje się noworoczne ludziom, którzy przez cały rok pozostawali ze mną w styczności, pilnowali mego dobra, spełniali sumiennie swój obowiązek. Ale te legiony różnych ciemnych postaci, które biegają na oślep od drzwi do drzwi, bez najmniejszej do tego racyi ze swej strony, a liczą tylko na naszą głupotę, na naszą delikatność, która nam niepozwala drzwi otworzyć i takiego oszusta ze schodów zrzucić.

To zjawisko jest dowodem, ile lenistwa w naszej krwi leży, jak bardzo nam smakuje grosz, na który rzetelnie zarabiać niepotrzeba, a tylko wykpić go można. A zjawisko to tem smutniejsze, że w tej żebraninie noworocznej lwi udział brały małe dzieci, pakując się do mieszkań, gdzie jak z katarynki recytowały swą lekcyę noworoczną, a odprawione z niczem lub skąpo tylko obdarowane, klęły w najordynarniejszy sposób.

Co z tych bachorów kiedyś będzie? Skoro już dziś oswaja się ich z tem, że w dzień nowego roku można żyć i zarabiać bez pracy, że można o pieniądze apelować do bezmyślności i głupoty ludzkiej, to samą siłą złego instynktu wyrobi się w nich chęć żyć w ten sposób nie raz na rok, ale przez cały rok — i z młodocianych gratulantów zrobią się niebezpieczni dla ogółu grasanci.

Tyle o tej ohydzie noworocznej, która zapewne wszystkim dała się we znaki. Ale z okazyi takiej jak wczorajsza, przypominają mi się jeszcze dwie smutno humorystyczne postacie, jakich dużo mamy w naszem społeczeństwie, a których bodajeśmy się jak najprędzej pozbyli.

Pierwszym typem jest człowiek, który przez cały rok albo nic nierobi, albo robi głupstwa i szelmostwa, a ma w sobie na tyle poczucia uczciwości, że się choć przed sobą wstydzi tego i ślubuje sobie w duszy, że „od nowego roku“ zacznie inaczej żyć, nie będzie pił albo w karty grał, będzie sumiennie spełniał swe obowiązki, zabierze się do jakiejś pracy, niebędzie robił wydatków po nad stan itd., ale wszystko to „od nowego roku“ dopiero! Te obietnice czynione samemu sobie i z wytyczonym w ten sposób terminem nigdy niebywają dotrzymywane. Postanowienia takie od „nowego roku“ robią ludzie o słabych charakterach, bez woli, energii i etyki. Kto widzi, że robi źle, a niema na tyle wrodzonego wstrętu do złych czynów, aby natychmiast z nimi zerwać, tylko stawia sobie na to, aby być porządnym człowiekiem,

O równe prawa...



termin noworoczny, człowiek taki jest lichem indywiduum, jemu zło stało się czemś wrodzonem, on niebędzie miał nigdy siły, pozbyć się swej wady lub swego nałogu.

Drugi typ takich „noworocznych nieszczęśników“ to fataliści. Ludzie ci, nękani niepowodzeniami, którym w regule sami zawinili, zamiast podkasać rękawy i wziąć los za łeb, zamiast starać się zaciętą pracą i wytrzymałością zmienić swe położenie na lepsze, ludzie ci ufają tylko w to i na to tylko liczą, że z nowym rokiem los sam ku lepszemu się obróci — i w tej nadziei oddają się bezczynności i fantazyom o zupełnym przewrocie, dla nich przynajmniej, w dotychczasowym biegu świata.

Takich typów, takich oryginałów, wygodnie spekulatywnych a leniwych i słabych co do charakteru, mamy mnóstwo na polskim gruncie. I to jest jedną z naszych klęsk. Komu źle, kto pragnie poprawy losu, a ma charakter i czuje siłę w sobie, ten nie czeka nowego roku, aby jakieś inne życie rozpocząć i stać się przedsiębiorczym, ten nie apeluje do zmiany losu na nowy rok, tylko w tej samej chwili porywa młot i siekierę, aby zaraz niemi życie sobie tak ciosać, jak tego pragnie i jak to za najlepsze uważa.

U nas i na świecie.

Projekty nasze co do wspólnego działania

Polaków i Węgrów

na polu ekonomicznem poczynają przybierać coraz konkretniejsze formy. W Budapeszcie w sali parlamentu odbyło się onegdaj wielkie zgromadzenie delegatów poszczególnych kongregacyi kupieckich i stowarzyszeń zajmujących się popieraniem rodzimego przemysłu, oraz posłów, którzy się zajmują polsko-węgierskiem zbliżeniem handlowem. Ponadto wziął w zgromadzeniu tem udział dyrektor „Ligi pomocy przemysłowej“ p. Olszewski, który objeżdżając obce kraje, Francyę, Belgię, Szwajcaryę itd. w celu nawiązania stosunków handlowych, zatrzymał się w Budapeszcie. Wygłosił on mowę, w której proponował zawiązanie towarzystwa eksportowego, mającego na celu

wyrugowanie pruskich towarów.

Wieczorem tego samego dnia odbyły się zgromadzenia towarzystw budapeszteńskich, na których omawiano obszernie całą sprawę i przyjęto do wiadomości sprawozdania delegatów.

Uchwały, powzięte na tych dwu zgromadzeniach są podstawą niepłonnych nadziei, że w walce naszej z butą krzyżacką będziemy mieli szczerego sojusznika.

Węgrzy mają młodziutki przemysł. — Obrotni, zapobiegliwi, gospodarni, potrafili go dźwignąć wbrew licznym przeszkodom ze strony krajów austryackich. Te kraje austryackie dały im się dobrze we znaki w czasie ich przedsięwzięć przemysłowych i handlowych i dziś jeszcze Węgrzy nie mogą na nich w niczem liczyć. Otwiera im się zatem nowa droga

sojusz z Polską,

co wpłynie na rozwój ich przemysłu i handlu bardzo dodatnio. A zatem choćby nie z pobudek politycznych, lecz tylko z czysto ekonomicznych, Węgrzy staną wiernie przy naszym sztandarze.

My również mamy młodziutki przemysł, a raczej wcale go nie mamy. Nam o wiele pilniej potrzeba pomocy międzynarodowej w dziedzinie przemysłu i handlu niż Węgrom. To też społeczeństwo z zapałem powinno rzucić się w kierunku urzeczywistnienia wzniosłych projektów.

Gdy podniesiemy nasz przemysł, gdy kraj nasz stanie silnie na ekonomicznych podstawach, wówczas wzmocnimy się, wzrośniemy w siłę i odporność.

Już Kazimierz Wielki hołdował temu hasłu i postawił Polskę na wyżynie prawdziwej potęgi. Czemuż my dziś nie mamy prowadzić dalej wielkiego dzieła reorganizatora Polski? I ten wielki monarcha i gospodarz wyciągnął rękę ku sąsiedniemu narodowi, a choć się trochę przeliczył, jednakże sojusz dwu narodów w dalszych skutkach był dla Polski epokowem dziełem potęgi i znaczenia. Wszak dzięki temu zbrataniu się dwu narodów otrzymaliśmy najświetniejszą w świecie

dynastyę Jagiellonów,

która przez tysiące lat będzie świadczyć o naszej chwale i potędze.

Ograniczając się na razie do ogólnych uwag, powtarzamy apel:

Podajmy ręce bratniemu narodowi Madziarom

a z tej strony zaświtać nam może jasne, promienne jutro lepszej doli ekonomicznej.

Podstawowe sprawy monarchii austryacko-węgierskiej zostały już definitywnie ukończone. Cesarz sankcyonował uchwały delegacyi w sprawie trzymiesięcznego prowizoryum budżetowego, ustawy ugodowej i prowizoryum budżetowe krajów Przedlitawii.

Teraz delegacye i parlament będą mogły swobodnie obradować nad tylu ważnemi, a zaległemi od lat sprawami państwa, przypuszczamy, że rok rozpoczęty będzie w tym kierunku bardzo szczęśliwy.

Stan wyjątkowy w Królestwie

kończy się z dniem 14. stycznia. Rada ministrów postanowiła jednak zatrzymać ten stan nadal w Moskwie. Petersburgu, w całem Królestwie Polskiem, w Inflantach, w południowym okręgu przemysłowym

---

ST. POŻAROWSKI. 71

JAN TRUPISZYN.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA NA TLE STOSUNKÓW LWOWSKICH.

Trupiszyn na ten wywód Ferdka kiwnął machinalnie głową, choć go nic nierozumiał, taki był zajęty własnemi myślami. Zresztą powoli przychodził do siebie. Makryna położyła znowu ręce i głowę na stole i zasnęła, a tem samem jakby odleciała dręcząca go zmora.

Mimo to pragnął jak najprędzej uciec ze szynku. Złożyli się więc na zapłacenie cechy, za resztę kupili papierosów i wyszli na ulicę.

— Dokąd pójdziemy? — spytał Ferdek.

— Mówiłem ci już, że do hotelu de Laus.

— A ja ci mówiłem, że szkoda pięt. Tam będą dziady słuchać a złodzieje gadać. Czego ty od nich chcesz?

— Moja rzecz, Ferdek. Chodź tylko, niepożałujesz.

Powoli, oglądając się ciekawie po mieście, szli ulicą Karola Ludwika, placem Maryackim, Halickim i Bernardyńskim, aż weszli na Łyczaków.

— Daleko to ten de Laus? — spytał Trupiszyn.

— Aż pod rogatką. Ciebie też dyabeł opętał, tam chodzić. Zrobilibyśmy tymczasem jakie cejco...

— Niby co to ma znaczyć?

— Zaprowadziłbym cię pod niejedno mieszkanie, gdziebyś zapukał i powiedział, że masz dobrą posadę, ale niemożesz jej objąć, bo ci brak garderoby. Gdybyś o gotiu prosił, toby ci ani krajcara niedano, ale tak to cię fajnie ubierą, nawet w bieliznę, a taką garderobę można potem u kasztana dobrze sprzedać.

— A czemuż ty nie idziesz prosić?

— Bo mnie znają. Ja w niektórych domach już po dwa razy brał, ale trzeci raz niechyci. Tybyś mógł dostać zatrzęsienie różnych portalionów i oberoków, boś obcy i jakoś ci lepiej z oczu patrzy. Po tobie poznać zaraz, żeś inteligent, ino cię coś przewróciło, a takiemu chętnie dają.

— Możemy potem spróbować. Teraz, aby niewiedzieć co, to muszę pójść na zgromadzenie.

W dobre pół godziny znaleźli się na miejscu i weszli do środka szynku. Był to pokój spory, z którego przechodziło się dopiero do większej salki. Ta była nabita tłumem słuchaczy, przeważnie ze sfery robotniczej.

— Ja wolę tu w szynkowni poczekać — rzekł Ferdek. — Co ja będę robił między tymi chruniami.

— To czekaj, aż niewrócę. Ale to ci mówię, że wyjdę dopiero po zgromadzeniu.

Po tych słowach Trupiszyn nie bez pewnego wzruszenia wszedł do przyległej sali. Z drugiego jej końca dochodził go głos jakiegoś zachrypniętego mowcy. Poznał w nim zaraz Tłuśca.

Z trudnością tylko przeciskał się ku przodowi sali, gdzie na drewnianej estradzie ustawioną była mownica, a dokoła niej siedział komitet, który zgromadzenie zwołał. Tłuściec stał za stołem, i krzykliwie, ale bez życia i bez zapału przemawiał do zgromadzonych. Po obu jego stronach siedzieli: Brylant, Pacykiewicz, Salo Monder, i dwóch innych jeszcze, których Trupiszyn wcale nie znał.

Utorowawszy sobie drogę aż pod samą trybunę, stanął Trupiszyn tuż naprzeciw Tłuśca i spokojnie ale z pewną ironią i siłą wzroku patrzał mu prosto w oczy, czekając i pragnąc widocznie, aby ich spojrzenia jak najrychlej się spotkały i w sobie utkwiły.

Tymczasem jakoś nieprzychodziło do tego. Tłuściec, jakby przykładał wagę do tego, aby go właśnie ci najdalsi słyszeli, strzelał ustawicznie oczami w głąb sali, pod jej ściany i po kątach, i mówił monotonnym, wcale nie zajmującym głosem:

— Nie jest mi rzeczą możliwą, towarzysze, dać wam obraz tego, jak niegodziwie i strasznie rząd wyzyskuje lud roboczy. Pije on waszą krew i wasze soki, a czyni to ...e... w drodze podatków pośrednich czyli ...e... konsumcyjnych. Rząd wiedząc o tem, że robotnicy są największymi konsumentami pewnych środków żywności, na artykuły te nałożył ...e... olbrzymie podatki i kolosalne cła. Tak naprzykład chleb byłby u nas o połowę tańszy, gdyby ...e... rząd nie obłożył dowozu zagranicznego zboża strasznie wysokimi cłami. A obłożył je dlatego, aby obszarnicy za swoje, krajowe zboże mogli ...e... żądać, co im się podoba, i aby mogli zdzierać skórę z robotnika.

— Hańba im! — krzyknął jakiś głos z pierwszej ławki.

— Hańba! hańba! — zaryczało całe zgromadzenie i wszyscy poruszyli się niespokojnie.

— Tak to, drodzy towarzysze, rząd tam tylko nakłada podatki, gdzie widzi, że robotnik będzie musiał ich lwią część ponosić. Albo czy ta szklanka piwa, tak robotnikowi do zdrowia i pracy potrzebna, niebyłaby ...e... o parę krajcarów tańszą, gdyby nie chciwość i zachłanność rządu? On na piwo tak wielki nałożył podatek, że niebawem piwo będzie należało jeszcze tylko do świątecznego napoju robotnika. (C. d. n.)

na Kaukazie i w części gubernii przyuralskich.

Tak więc stan wyjątkowy trwać będzie dalej, ku utrapieniu w szczególności Królestwa Polskiego, wyniszczonego ekonomicznie, przygniecionego ukazami, tamowaniem działalności oświatowej i niezmierną ilością wyroków śmierci.

W tej części Polski, zarówno jak i pod Prusakiem smutne czasy trwać będą dalej. Projekt odmowy polskiego robotnika Prusakom, spotkał się w prasie wielkopolskiej z protestem. Pisma te utrzymują, że właśnie celem szerzenia polskości i otrzymywania zarobku od Prusaków, emigracyę polskich robotników z Królestwa i Galicyi należy popierać.

Nam się zdaje, że zapatrywania te nie uzyskają poklasku w łonie naszego społeczeństwa. Co będzie, to będzie — naród musi zerwać wszelkie stosunki ze wstrętnem prusactwem.

Żądamy od Prusaków sprawiedliwości dla naszych rodaków — i takiego uprawnienia, jakie mają Rusini w Galicyi.

Niezwykłe oszustki.

(Z księgi głupoty ludzkiej).

W Wiedniu na Singerstrasse mieszkała od lat wielu stara panna, Marya W. Całem jej towarzystwem był przez czas długi tylko ukochany kot i kanarek; z czasem jednak zapragnęła towarzystwa, i ulitowawszy się nad swą ubogą znajomą, Katarzyną H., wzięła ją wraz z jej szesnastoletnią córką, Maryą do siebie.

Panna W. żyła bardzo cicho, acz wygodnie, i była nadzwyczaj pobożną, co dzień chodziła parę razy do kościoła, a spowiadała się i komunikowała co tydzień. Prócz tego ze szczególnym pietyzmem czciła pamięć swego zmarłego katechety i spowiednika, pewnego księdza ze Styryi.

W krótkim czasie sprytne lokatorki postanowiły to fanatyczne uwielbienie panny W. dla zmarłego zręcznie wyzyskać.

Zaczęły więc wmawiać w dobroduszną staruszkę, że zmarły spowiednik pragnie się jej objawić. Ustawiły strojny ołtarz w swym pokoju, i oświeciwszy go jedyną czerwoną lampką poczęły się modlić. Skutek tych modłów był taki, iż zmarły przez usta szesnastoletniej Maryi, używanej jako medium, (znakomicie naśladującej głos nieboszczyka) zaczął z łatwowierną staruszką dłuższe prowadzić rozmowy.

Rozumie się, że zakończeniem każdej z tych pozagrobowych rozmów było uroczyste polecenie z ust zmarłego płynące, „aby wręczyła“ rozmaite kwoty na cele pobożne w ręce przedsiębiorczych oszustek.

Nie koniec na tem. Zręczne lokatorki, dobrawszy się do listów zmarłego, jakie staruszka miała w przechowaniu, potrafiły bardzo zręcznie udać i pismo nieboszczyka. A wtedy poczęła się korespondencya z nieba płynąca...

Trwało to czas jakiś, aż w końcu „świątobliwy nieboszczyk“ zawezwał pannę w jednym z listów do przyjazdu do Styryi, celem pomodlenia się na jego grobie.

Panna W. wybrała się w podróż natychmiast, zostawiając cały swój dom i mieszkanie, bardzo dostatnio urządzone, pod opieką pań W. Bawiła dni parę w Styryi, modląc się pilnie na grobie nieodżałowanego przyjaciela, poczem udała się jeszcze i do miejsca odpustowego Mariazell, do czego nakłonił ją również list posłany z nieba...

W trakcie tego otrzymała 2 listy pieniężne po 200 koron, jako dar z nieba od zmarłego księdza.

Gdy jednak po kilkunastu dniach tej pobożnej wycieczki, powróciła do Wiednia, zastała całe swe mieszkanie ogołocone ze wszystkich mebli. Sąsiedzi objaśnili oszukaną staruszkę, iż zacne jej lokatorki spieniężyły wszystko za 3200 koron, rzekomo z jej polecenia, i dawno pojechały w niewiadomym kierunku. Biedaczka udała się do policyi, która na szczęście miała już dwa ptaszki w rękach, dzięki doniesieniu jednego ze znajomych pani W., któremu się ta sprawa z duchem nieboszczyka i pieniądzmi z nieba, nieco podejrzaną wydała.

Tragedya karlicy.

Osobliwszy widok przedstawiała w poniedziałek sala rozpraw wiedeńskiego trybunału cywilnego. Jako strony procesujące się wystąpiło bowiem dwoje karłów, a mianowicie Wilhelmina Jüngling, i mąż jej Leon Jüngling. Pani Jüngling była niegdyś miniaturową aktorką i już w r. 1874 mając lat piętnaście występowała w wiedeńskim Ringteatrze. Po spaleniu się Ringteatru zaangażował ją dyrektor Steiner do teatru nad Wiedenką, gdzie występowała w rolach dziecięcych, później zaś czynna była w rozmaitych teatrach europejskich, wszędzie oczywiście tylko w rolach dzieci. W Finlandyi poznała swego męża, oboje zawarli ślub cywilny. Po kilkuletniem jednak pożyciu Jüngling, młodszy o pięć lat od swej żony, mającej dziś lat 49, separował się z nią sądownie. Obie strony zawarły w sądzie umowę, mocą której Jüngling zobowiązał się płacić swej separowanej małżonce alimenta po 10 koron miesięcznie, z tem, iż w razie, gdy jego położenie materyalne polepszy się, zostanie także stosownie podwyższona ta alimentacya. Owóż obecnie biedna karlica wniosła przeciw swemu małżonkowi do sądu pozew o podwyższenie alimentów na 50 koron miesięcznie, gdyż, jak utrzymuje w skardze, jest zupełnie niezdolna do pracy i cierpi największą nędzę. Zapozwany karzeł nie chce nawet nic słyszeć o spełnieniu żądania swej żony i skutkiem tego odbyła się rozprawa mająca przebieg następujący:

Przewodniczący, dr. Wagner: Panie Jüngling, może pan zechcesz zrobić coś dobrowolnie dla swojej biednej żony? Karzeł: Nie mogę. Zarabiam wszystkiego trzy korony dziennie, które pobieram za każdy występ w kawiarni „Magnet“, gdzie wieczorami śpiewam kuplety. Adwokat skarżącej karlicy: Nadto ma on znaczny dochód z napiwków, gdyż po każdym kuplecie chodzi z talerzykiem zbierać między publicznością. Karzeł: Z tych napiwków wypada dla mnie przeciętnie jedna korona na wieczór. Przewodniczący: Dajmy na to, że tylko tyle, to w każdym razie masz pan już 120 koron miesięcznie. Karzeł: Moi szanowni panowie, to zaledwie wystarczy dla mnie na życie. Czterdzieści halerzy dziennie kosztuje mnie sam tramwaj, przytem trzeba uwzględnić to, że muszę być zawsze elegancko ubrany, co drugi dzień potrzebuję świeżej koszuli, czystego kołnierzyka i manszetów, odzież też kosztuje mnie ogromnie dużo. — Przewodniczący: Ależ ubranie dla tak malutkiej osoby, jak pan, musi niewiele kosztować. Karzeł: O myli się pan, panie prezydencie. Ten garnitur np. który mam na sobie, kosztuje 44 koron, zdaje mi się, że i panowie sędziowie więcej za swoje odzienie nie płacą. Przewodniczący do karlicy: A czyż pani istotnie absolutnie nie jesteś w stanie nic zarobić? Karlica: Nic, starałam się o to wszystkimi możliwymi sposobami, ale nadaremnie. Przewodniczący: Przecie byłaś pani przez tyle lat aktorką. Karlica: Dziś żaden teatr nie chce mnie zaangażować, bo do ról dziecięcych jestem za stara, a do innych za mała. Przewodniczący: Masz pani tak śliczną wymowę, może jako lektorka znalazłabyś kawałek chleba. Karlica: I o to się starałam i już przedstawiona zostałam pewnej pani, a nawet przez jeden dzień pełniłam u niej obowiązki lektorki. Nazajutrz jednak oświadczyła mi, że musi sobie poszukać innej, takiej, z którąby mogła chodzić po spacerach i trzymać się jej pod ramię, a ja jestem za mała. Przewodniczący: A to istotnie fatalne położenie. Może jednak przecie pani potrafi coś sobie wyszukać? Karlica: Przyjęłam w domu pewnego Rosyanina obowiązki nauczycielki języka niemieckiego, po kilku dniach jednak oddalono mnie, gdyż z powodu mojej ułomności dzieci nie miały przedemną żadnego respektu, wyśmiewały się ze mnie przy nauce i nie chciały mnie słuchać. Następnie próbowałam zarobić na utrzymanie jako kwieciarka i sprzedawałam kwiaty w lokalach publicznych i do tego jednak nie miałam szczęścia, panowie bowiem kupują kwiaty tylko u takich kwieciarek, które mają młode, piękne twarze, u mnie nikt nic kupować nie chciał.

Po przesłuchaniu kilku świadków, wydał trybunał wyrok, skazujący karła Jünglinga na płacenie swej żonie odtąd alimentów o 10 koron miesięcznie wyższych, t. j. 20 koron zamiast dziesięciu. Usłyszawszy ten wyrok, rzucił karzeł gniewne spojrzenie na swą małą żonę i rzekł do niej: „Ty jesteś mojem nieszczęściem. Ty doprowadzisz mnie jeszcze do samobójstwa!“

Wieczór u pedagogów.

(Z notatek karnawałowego włóczęgi).

Karnawał lwowski byłby tem, czem frak bez ogona, osioł bez uszu, panną bez posagu, socyaliści bez czerwonego sztandaru itp., gdyby nie — wieczorki u pedagogów. Ci szermierze abecadła nietylko, że głosują solidarnie na listę Strzelnicy przy wyborach, ale też i bawić się umieją jak anioły. Takie już im Pan Bóg dał dusze do tańca i różańca. Oni mają nowowybudowaną chałupę przy ulicy Friedrichów — i tak się tam bawią, że Friedrichowie po całych nocach (ze soboty na niedzielę) spać nie mogą.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że w towarzystwie tem są także sławne w historyi galicyjskiego szkolnictwa młodsze nauczycielki, które ustawicznie trąbią przed światem, że są już bardzo stare i przeciw przydomkowi „młodsze“ na wiecach i w pismach energicznie protestują. Takiej osobliwości tam niema. Są tylko prześliczni chłopcy, jak świece, jak lalki, jak sam Dianni, albo nawet jak p. Jonasz, który odznaczony został zeszłego roku na europejskim konkursie piękności.

Muzyka — ach co za muzyka! Gra same narodowe kawałki, bez nut wprawdzie, ale to jej nie ubliża. Nie sztuka bowiem grać z nut, ale bez nich.

Panowie — jeden w jeden jak ulał — nie mają ogonów, jak to spostrzedz można

u panów na innych bałach, ale ubierają się na wieczorki po ludzku, sądząc, że „ogony“ przystoją tylko zwierzętom. Nie piją oni w bufecie ani esencyi, ani „akcyjnego“, ani nawet „turulu“, tylko — szampan dobrostański i zajadają smaczne pączki własnej produkcyi.

A panie? Same do wzięcia. Brunetki, blondynki, szatynki, rude — słowem piękności wszelakiego kalibru, ubierają się równie skromnie. Jedwabiu ani śladu. Znać, że to dobrze myślące niewiasty, poco im wspomagać obcy przemysł? Każda też z nich, a jest ich tam sporo tuzinów, ma jaki taki posażek. W kołach tańczącej młodzieży można się w mig dowiedzieć, że ta ma 10 tysięcy, tamta kamieniczkę, inna aż 20 tysięcy. W miarę tych przymiotów mają też panny powodzenie. Nie znaczy to jednak, żeby panna bez posagu lub kobieta zamężna pietruszkowała. Tam panuje solidarność wśród kolegów, którzy „piękności“ swoje wytańcowują nawzajem z koleżańskiego obowiązku. Słowem cała „pedagogia“ to bardzo miła rodzina, bawiąca się znakomicie w tym celu, aby uzyskać jaki taki dochód na zapłacenie długów, ciążących na własnem ognisku. Jako wielki znawca tajemnic balowych i karnawałowych radzę wszystkim moim przyjaciołom i przyjaciółkom zawadzić w karnawale i o pedagogów. Nie pożałują tego, a nawet, kto wie, czy sami nie zostaną — pedagogami. *n. r.*

Ludożerca.

(Z rosyjskiego).

Iwan Piotrowicz, pensyonowany pułkownik... Familijni opowiadacze są zawsze pensyonowanymi pułkownikami i ogromnie dobrymi, bo wszyscy familijni bajarze bywają zawsze Iwanami Piotrowiczami, pensyonowanymi pułkownikami i ogromnie dobrymi ludźmi.

Iwan Piotrowicz, pensyonowany pułkownik i ogromnie dobry człowiek, zapalił bardzo grubego papierosa i tak rozpoczął:

— Niechby mnie dyabli wzięli, jeżeli kiedy zapomnę tę noc! Gdy ją sobie przypominam, to jeszcze teraz mróz mi przechodzi po skórze. Było to jak dziś w noc wigilijną.

My, jak zwykle wszyscy słuchacze w rodzinie przysunęliśmy się bliżej do stołu.

— Jechałem ja, dyabli by tam spamiętali po co, koleją. Na dworze wyła zawieja. Po sercu jakby kot drapał. W czterdzieści wagonów pchaliśmy się pod górę z szybkością żółwia, pełzającego po lustrze pionowo. Pojmujecie? Było nas dwóch w wagonie: ja i jakiś milczący pasażer o wyglądzie tak skupionym, jakby jechał na własny pogrzeb. Z nudów zdrzemnąłem się. Dyabli wiedzą, jak długo spałem. Gdym się zbudził, było cicho, jak w grobie. Nie jechaliśmy, czyby stacya? Spojrzałem w okno, jedna biała płaszczyzna, przylegająca szczelnie do szyby, Ruszyłem ku drzwiom. Próbuję otworzyć. Ani rusz! Drzwi zasypane śniegiem. Byliśmy pogrzebani w zaspie we dwóch z moim towarzyszem jazdy. Popatrzyłem na niego. Miał teraz wygląd człowieka zupełnie bezpiecznego, który ma pewność, że w przeciągu jakich pięciu minut pociąg ruszy w dalszą drogę. To mnie oburzyło.

— Jesteśmy zasypani — krzyknąłem.

— A tak — najspokojniej odpowiedział. — Cóż to szkodzi?

Co szkodzi? Toż tu przyjdzie zginąć w tym dyabelskim zatrzasku pod górą śnieżną.

Nie sądzę. Do dwóch tygodni nas odkopią.

— Ale my do tego czasu pomrzemy z głodu!

Na to on najspokojniej odpowiedział:

— Nie. Przynajmniej co się mnie tyczy. Jak już nie będę mógł wytrzymać, to pana zjem, i basta.

— Jak to niby?

— Dla mnie to rzecz całkiem zwyczajna. Jestem ludojadem.

Gdzieś po tyłogłowiu przeleciały mi mrówki. Miałem jednakże jeszcze na tyle odwagi, żem rzekł:

— Zapowiedzieć człowiekowi pod zaspą śnieżną, że się go zje, jest żartem niewłaściwym, szanowny panie!

— Ależ ja wcale nie żartuję. Zresztą sam się pan przekona, że nie żartuję, bo ja pana zjem.

Mówiąc to, oblizał się, patrząc na mnie.

— Zupełnie bezcelowo oglądasz się pan naokoło, bo tu niema nic czemby się bronić można. Ja zaś mam rewolwer, kindżał, a w kuferku topór, co mi wystarczy, aby pana poćwiartować. Jeżeli sobie pan życzy, to mogę pokazać i rożen, na którym sobie pana upiekę. My, ludożercy, jesteśmy narodem przezornym i zawsze z sobą wozimy wszystko, co koniecznie potrzebne na jednego z was; bo nigdy nie można wiedzieć, gdzie się gratka trafi.

I aż kłapnął zębami z zadowolenia.

— Pan mi będziesz, zdaje mi się smakował. Najprzód zjem sobie pańskie nerki. Przyznaję się, żem dawno już nie jadł nerek. A czy może być co lepszego nad nerki z rożna? Nieprawdaż?

Otwarcie mówiąc, tom czuł, jakby mnie zabolała prawa ręka. A ta kanalia począł się śmiać:

— Ha, ha, ha! Zupełnie zapomniałem, żeś pan nie ludojad! Żałuj pan! To smakowite! Bardzo smakowite! Wyobrażam sobie, jak z pewnością będą chrupać pańskie chrząstki przyżebrowe!

Zaczęło mnie pokłuwać w klatce piersiowej.

— Zresztą przestańmy u dyabła mówić w tej materyi, bo czuję, jak mi się wzmaga apetyt. Gotówbym zaraz rozpocząć pana zjadać i nie wystarczyłoby mi na dwa tygodnie.

Zaczął grzebać w kuferku, z którego wydobył sól, pieprz, musztardę i pieszczotliwie spoglądał na mnie.

— Wszystko dla pana!

Potem wyjął talerz i począł obcierać nóż i widelec.

Rzeczywiście bałem się podniecić w nim apetyt, jednakże trzeba było się przekonać, czy on żartuje, czy też na prawdę gotuje się do zjedzenia mnie? Starałem się mówić, jak można tylko najgrzeczniej.

— Gdzie też pan nabył... takiego szczególnego sposobu?...

— Jeść was? U Dahomejskiego króla Behanzina, miły panie. U niego doskonała jest kuchnia.

— Jakże to?...

— Skąd ja się tam wziąłem? Usuń pan swoje nogi, to najsmaczniejsza potrawa. Pańskie nogi przeszkadzają mi w opowiadaniu.

— Nogi?

— No tak, nogi! Patrząc na pańskie nogi, strasznie mi się zachciewa fricanda z nóg! Nie podniecaj mi pan apetytu swojemi nogami! Czy pan słyszał, że nie można ludożercy pokazywać nóg? Czy pan na to niema mózgu?!

— Mam...

— Nie mówże mi pan u dyabła, że pan masz mózg, bo panu natychmiast rozbiję czaszkę, jak prosięciu wielkanocnemu i zjem mózg!

(Dok. nast.)

Sprawcami drożyzny: Socyaliści!

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We czwartek rzym.-kat. Makarego Op. — gr.-kat. Ihnatya.

W piątek rzym.-kat. Genowefy P. — gr.-kat. Julyanny M.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We czwartek wieczorem „Wesoła Wdówka“. W piątek wieczorem Panna Zożetta“. — W sobotę popołudniu „Królowa Tatr“ — wieczorem „Mignon“. — W niedzielę popołudniu „Baron cygański“ — wieczorem „Szkoła“.

Colosseum Hermanów:

(Pasaż Hermanów, ulica Słoneczna) codziennie o godzinie 8-mej wieczorem przedstawienie; w niedzielę i święta dwa przedstawienia (serya od 16-go do 31-go b. m.). Nowy świetny program.

Dependance w Hotelu Bristol. Codziennie występ pierwszorzędnych artystów. — Początek o godzinie wpół do 9-tej wieczór.

MIEJSCOWA.

Nagrody za wierną służbę. W poniedziałek przedpołudniem w sali gal. Kasy oszczędności odbyło się czwarte z rzędu premiowanie sług z fundacyi im. ś. p. Felicyana Korab Laskowskiego. Przy rozdawnictwie obecnymi byli: prezydent miasta Ciuchciński, członkowie wydziału Kasy oszczędności, pp. dr. Wł. Abraham i Kar. Sklepiński, tudzież dyrektorowie: dr. Stroynowski i Kwiatkowski. Do zebranych przemówił serdecznie dr. Stroynowski, poczem nastąpiło rozdanie nagród. Na 43 ubiegających się o nagrody, otrzymało nagrody tylko 28 sług, a mianowicie: Po 50 kor.: Jan Gardziel 39 lat służby, Szymon Futt 33 lat służby, Szymon Hładyj 33 lat sł. Po 40 koron: Jan Szczuk 30 l. sł., Tacjana Bojko 29 l. sł. Po 35 koron: Maciej Waliducha 23 l. sł., Krzysztof Ptasznik 23 l. sł., Joanna Winkler 22 l. sł., Paulina Sobiecka 22 l. sł., Franciszka Mazurkiewicz 21 l. sł., Michał Gałus 21 l. sł., Petronela Gumułka 21 l. sł., Matrona Soroka 21 l. sł. Po 30 koron: Marya Jurków 26 l. sł., Marya Klepacka, Rozalia Krzysik, Józefa Motylewska, Paweł Wysoczański, Apolonia Zdziarska, po 18 lat służby, Roman Dyki, Filip Hampel, Karolina Kurdziel, Joanna Wiśniewska, Jakób Niemiec, po 17 lat sł., Stefan Sabor, Aniela Borecka, Katarzyna Maner i Marya Adamowicz po 16 lat sł.

Że socyaliści są dobrodziejami polskich kolejarzy, dowodzić miało zgromadzenie kolejarzy socyal. w dniu 22. grudnia 1907, w sali Danka w Krakowie.

W wielkiej sali zebrało się około 200 mężczyzn i 4 pań, z tego około 30 kolejarzy z kolei północnej i 2 z ko-

lei państwowej, (ci ostatni z ciekawości) resztę stanowili zwykli „kolejarze". Z Kazimierza jak i z Ludwinowa. (We Lwowie dostarcza tego kontyngentu kolejarskiego w razie potrzeby Zamarstynów i Łyczaków). Prawie trzy czwarte godziny czekano na referenta p. Duszka z Wiednia, który miał w języku urzędowym organizacyi socyalistycznej t. j. po niemiecku sprawozdania składać. W końcu zjawił się.

P. Duszek opowiadał w djalekcie wiedeńskim zwykłe frazesy, chwalił centralę wiedeńską przestrzegał przed innymi organizacyami a przedewszystkiem zaś przed „Samopomocą", którą nazwał „eine polnisch — demokratische Organisation.

Mowę p. Duszka miał tłumaczyć p. Meleń na polskie, zgromadzeni jednak (z Kazimierza) sprzeciwili się temu, twierdząc, iż ją dobrze zrozumieli. Następny mowca p. Moraczewski oszczędzał swój organ głosowy mając przemawiać na zgromadzeniu w ujeżdżalni. (Nawiasem mówiąc nie był tam, przepraszając że jest zmęczony, wskutek udziału swego na zgromadzeniu kolej.)

Mówiąc o spółkach spożywczych, podniósł p. Moraczewski niedbałe i złe zaprowadzenie konsumu w Nowym Sączu, zapominając całkiem, że zarząd tamtejszy jest w rękach socyalistów. Oburzony tem (i to słusznie) tow. Mędlarski, prezes Spółki nowosądeckiej zmył głowę tow. Moraczewskiemu narzekając, że go tow. M. „drasnął".

Skonfundowany poseł milczał, w końcu zniechęcony do niewdzięcznych kolejarzy opuścił zgromadzenie i pospieszył do ujeżdżalni dokąd jednak z uszczerbkiem dla ciekawych jego widoku towarzyszy, nie doszedł.

Towarzysze piorunowali na spółkę spożywczą założoną przed tygodniem, przez kolejarzy krakowskich twierdząc, że nie mają do niej zaufania, bo to ludzie z partyi przeciwnej. Dziwna logika!

Ponieważ założyciele spółki chcą, by kolejarze tanie a dobre towary otrzymywali, należą jednak do przeciwnego obozu, więc nie można się z nimi łączyć, lepiej być głodnym, (górą zacietrzewienie partyjne!)

Zupełne fiasko tego zgromadzenia, którego celem miało być założenie konsumu, jak również sprowadzenie do polskiego Krakowa szwaba wiedeńskiego do pomocy panu Moraczewskiemu, jest widocznem znakiem bankructwa partyi galicyjskiej.

Jakie aktorki najbardziej lubimy? Zajmującą — oczywiście po parysku — ankietę urządził jeden ze znanych literatów tutejszych, ażeby dowiedzieć się, jakiego fachu aktorki czynią na mężczyznach największe wrażenie. Po prostu powiedziawszy, chodziło o to, które z nich otrzymują najwięcej listów miłosnych. Statystyka na podstawie ścisłych (?) dat wykazała, że przedstawicielki ról tragicznych są więcej podziwiane, niż kochane. Pierwsze kochanki mają pod tym względem większe powodzenie, a największe przedstawicielki ról naiwnych. — Stare podobno dzieje. A skoro mowa o naiwnych, to zanotujemy następny pocieszny fakt: Młodziutka i, jak powiadają, prawdziwą naiwnością odznaczająca się najmłodsza naiwna Teatru francuskiego, panna Lifrand otrzymała w konserwatoryum pierwszą nagrodę, na podstawie której została przyjęta na stałe do Teatru francuskiego. Uradowała się tem odznaczeniem tak ogromnie, że wpadłszy za kulisy, ucałowała pierwszą spotkaną tam osobę. Był to strażnik, który tym razem nie zabrał się do ugaszenia ognia.

Servus Kapuściarz! Tak grzecznie przywitał policyant znanego złodzieja lwowskiego, Józefa Kapuściarza, który z szafki stojącej w sieni przy ulicy Boimów l. 22 „zjuchcił" dwie blaszanki z mlekiem. Bardzo porządny człowiek z owego Kapuściarza, skoro już od Nowego Roku rozpoczął pracę w swoim zawodzie. Można go postawić jako wzór naśladowania godny.

Nasz reporter pisze:

Żałuję mocno, że to nie ja byłem owym rycerzem, co uratował cnotę i niewinność śpiewaczki Bel-Sorel. Ja byłbym się tak nie krył pod korzec, jak ten idyota, ale wystawił się na widok publiczny, by mi gazety robiły reklamę i popularność, a piękne panie przysyłały wieńce i bukiety. Ale stało się i niema już czego żałować, bo słyszałem od portyera teatralnego, z za kulis, że cały ten interes jest najzwyklejszą w świecie bajką dla dorosłych dzieci, gwoli popularności p. Bel-Sorel. Głupie gadanie. Uprowadzona jest już tak popularną jak sam Giacomo Rawner, więc po co jej jeszcze większej sławy? Drudzy mówią, że uprowadzenia dokonali najszlachetniejsi patryoci. W to gotów jestem uwierzyć. P. Heller nabija kabzę przegasłym obcym gwiazdom — mówią — w guście przekształconych Icków na Giaconiów, schodzącej z horyzontu Bel-Sorel i t. p. więc obowiązkiem społeczeństwa było odebrać choć część tych tysięcy z kieszeni naszej biednej operowej publiczności wyłudzonych.

To wydaje mi się słusznem i gdyby drugi raz Bel-Sorel była napadniętą, a ja się na to patrzył — to włożyłbym ręce do kieszeni i nie ratowałbym jej cnoty ani pieniędzy.

Może Szanowna Redakcya słyszała, że już się rozpoczął nowy rok 1908, którego zaraz pierwsze miesiące przyniosą wiele ciekawych przypadków, a w szczególności podwójne wybory. Cieszyłem się niezmiernie, że te wybory do Rady miejskiej i do Sejmu przypadają na jeden dzień, bo w takim razie szyby Szanownej Redakcyi byłyby tylko raz wybite. A ten pan Ciuchciński na złość jedne wybory odracza na później, wskutek czego zwolennicy i przyjaciele Szanownej Redakcyi będą mieli okazyę wybić jej szyby dwa razy. Niech Szanowna Redakcya przeciw temu zaprotestuje.

Donoszę Szanownej Redakcyi w dalszym ciągu, że równocześnie z Nowym Rokiem narodził się pan Karnawał. Jest to mesyasz, na którego czekało parę tysięcy panien z bijącemi serduszkami. Teraz już wszystkie kłopoty na bok — Karnawał grunt. On jak weźmie w zawrotny tan nasze społeczeństwo — tak w mig go odrodzi. Bojkot towarów pruskich zostanie w przeciągu paru dni ukończony i drożyznę dyabli wezmą. Ja sam ogromnie lubię się bawić, ale tylko na Strzelnicy, u metalowców i w Jad Charuzim. Będę rozbawiał w tych lokalach publiczność do upadłego, niech tańczy, niech hula, a może przehula okres wyborczy. Prawda, co za wzniosła misya? Nie mielibyśmy ani w Radzie miejskiej, ani w Sejmie: Strzelniczan, socyalistów i syonistów. Tylko skąd ja wezmę fraka? Bez tego narodowego kostyumu niepodobna w karnawale nawet na ulicę się pokazać. Może Szanowna Redakcya ma jaki przechodzony frak? Bardzo będę obowiązany za taki hojny podarek.

Ferye szkolne według obrządku gr.-kat. Ponieważ obecnie ferye szkolne po świętach Bożego Narodzenia według obrządku gr.-kat. kończą się w sobotę 11-go b. m., przeto zezwoliło ministerstwo oświaty, aby nauka rozpoczęła się dopiero w poniedziałek 13-go b. m.

Frau Wiśniewska von der Batorygasse 8, rozdaje na mieście kartki z niemieckim tekstem, w których zachwala schöne Blousen, Kinderkleider i t. d. Zwracamy uwagę publiczności, aby starała się unikać firm, ogłaszających się po niemiecku w polskiem mieście. A także mogłaby się pani W. lepiej po niemiecku nauczyć i ogłaszać Schlafröcke a nie Schlafräcke, bo ten ostatni wyraz oznacza baranie kiecki.

Dwaj patryoci. Rzecz dzieje się w sklepie galanteryjnym. Osoby: właściciel i gość.

— Uprzedzam — mówi gość — że towarów niemieckich nie kupuję, niech mi pan takich nie pokazuje!

— Ja?! Niemieckich?! Za kogo mnie pan ma?... Niemieckich nie sprzedaję za żadne skarby!

— To ślicznie! Prawdziwy z pana obywatel kraju!

— Oh, proszę pana! To klienci tacy, jak pan dobrodziej, świecą nam przykładem.

Gość długo wybiera przyrząd do pisania i nie może się zdecydować..

— A, proszę pana, tam na półce stoją jakieś ładne rzeczy...

— Te?... To nie do sprzedania!

— Dlaczego?

— To wyroby niemieckie!

— A cóż pan z nimi zrobi?

— Czy ja wiem?... Tymczasem odstawiłem na bok... Chyba trzeba będzie wyrzucić na śmietnik, bo teraz nikt tego nie kupi!

— Ma się rozumieć... Niechno pan jednak pokaże ten garniturek! Wcale ładny! Tak po cichu mówiąc... Ma pan zmarnować... Przecież pana to kosztuje... A mnie się podoba... To między nami zostanie... Niech mi pan odda za połowę ceny...

— Radbym, ale się boję... Dowie się kto...

— Słowem honoru ręczę, że nikt się nie dowie... Ja, panie, jak grób... Więc ile?

— Ha, niech tam! Da pan dobrodziej pięć guldenów...

— Co, tak drogo?!

— Słowem honoru ręczę, że żądam tylko pół ceny.

— Ha, niech tam! Daj pan!...

(Po wyjściu gościa ze sklepu).

Gość (do siebie): To ty ptaszku, po cichu towary niemieckie sprzedajesz? Czekaj! Dam ja ci szkołę w gazetach!

Kupiec (do siebie): A to dureń holenderski! Przepłacił o dwa guldeny kałamarz...

Wybory do Rady miejskiej, jak to przepowiedzieliśmy, zostały odroczone o cały miesiąc, t. j. na 28-go marca. O ile tu decyzya pana prezydenta jest zrozumiałą i względami konieczności podyktowaną, o tyle pojąć trudno, dlaczego względem przekupek, które miały wczoraj opuścić

rynek, cofnięto to zarządzenie. Pokazuje się, jak to u nas najzdrowsza myśl zostanie niewykonaną lub skrzywioną, gdy wejdą w grę uboczne wpływy, a w tym wypadku przecież o to tylko chodzić może, że któryś z macherów chciał sobie zaskarbić łaski tych pań i zdobyć kosztem innych interesów miasta tanią ale „głośną“ zato popularność. Zresztą może to i trafna była spekulacya z jego strony. Może radny Lilien rozszerzy jeszcze bardziej swój projekt miejskiej reformy wyborczej, a wtedy i przekupki dorwą się głosu i dobroczyńcy swemu taki dożywotni już mandat wygłosują.

Banda Wasińskiego, schwytanego w sobotę we Lwowie, przejeżdżała w niedzielę przez Sambor. Jak nam stamtąd donoszą, miała się składać z czterech ludzi, z których trzech, miało przybyć do Sambora w nocy na niedzielę w przebraniu kobiecem. Banda wyładować miała na stacyi w Samborze kufer ogromnych rozmiarów i wozem chłopskim wywiozła go w niewiadomym kierunku. Łatwo być może, iż byli to sprawcy włamania się do kasy urzędu podatkowego w Kałuszu i że kufer zawierał właśnie zdobycz tam złupioną. W Samborze ślad rzezimieszków zaginął. Istnieje przypuszczenie, że mogli z łupem przemknąć się na Węgry.

Samobójstwo. W noc Sylwestrową pozbawił się życia przez zatrucie gazem węglowym Józef Komsiński, 34-letni murarz. Samobójstwa dokonał we własnem pomieszkaniu przy ul. Polnej pod l. 35, gdzie wieczorem rozpalił węgle w piecu, a następnie pozatykał otwory szmatami, tak, że zabójcze gazy nagromadzone w pokoju pozbawiły go życia. Powodem rozpaczliwego kroku było złe pożycie z żoną. Od dłuższego czasu datujące się nieporozumienia małżeńskie doprowadziły Komsińskiego przed kilku dniami do tego, że chciał żonę zastrzelić. W kilka dni potem pobił żonę i wypędził ją z domu. Snać gorycz i niezadowolenie z powodu tak przykrych stosunków małżeńskich popchnęły go do samobójstwa. Zwłoki odstawiono do instytutu medycyny sądowej.

Z KRAJU.

Hajdamackie kwiaty. W niedzielę odbył się w Tarnopolu wiec ruskiej partyi ukraińskiej, rzekomo tylko w sprawie uniwersytetu zwołany. W rzeczywistości chodziło menerom ze Lwowa o rzucenie steku obelg na naród polski i usprawiedliwienie przy tej sposobności skandalów ruskich we Lwowie i w Wiedniu. Referat wygłosił niejaki p. Wesołowski ze Lwowa, na temat ucisku Rusinów przez Polaków i przy tej sposobności usprawiedliwił w ciekawy sposób brak kultury u Rusinów, motywując tem, że Rusini „bronili“ kultury zachodu i dlatego wśród tej walki nie mieli czasu myśleć o własnej kulturze. Niemniej charakterystyczne były motywa mowcy, przytoczone na dowód braku polskiego charakteru uniwersytetu we Lwowie. Oto uniwersytet lwowski był dawniej niemieckim, a Polacy bezprawnie wyrugowali język niemiecki w drugiej połowie XIX. wieku. Co się zaś tyczy zasadniczych ustaw państwa, gwarantujących polski charakter uniwersytetu, oświadczył mowca, że jakieś tam stare szpargały i przywileje, nadane szlachcie za czasów polskich i przez cesarza austryackiego w zamian za hasło „przy tobie stoimy“, nie powinny być brane pod rozwagę i nie mają też żadnej wartości. Po takiem „prawno-politycznem“ rozumowaniu potępił mowca zachowanie się rektora, który postąpił rzekomo wbrew wyraźnemu poleceniu rządu co do łacińskiej formuły przysięgi przy immatrykulacyi. — I dlatego tylko „kwiat narodu ruskiego“ musiał wyprawić nową borbę. Po tej przemowie pana Wesołowskiego uchwalili zgromadzeni (w liczbie stu kilku osób zaledwie) rezolucyę, domagającą się osobnego ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie, a „tymczasem“ utrakwizacyi uniwersytetu obecnego. Następnie wyrażono podziw i uznanie ruskim akademikom za mężną obronę praw ruskich, cześć klubowi ruskiemu w parlamencie, a pogardę moskalofilom. Jeden z tutejszych syonistów nie omieszkał napaść na Polaków i zaskarbić sobie tem wdzięczności Rusinów. „Ne pora“ i okrzyki „Za San z Lachamy“ zakończyły kulturną manifestacyę ruską.

Czerwoni żandarmi. W Ustnykach w dzień przedwigilijny do restauracyi Leiby Beera przyszli wachmistrz i kapral żandarmeryi i kazali grać muzyce Czerwony sztandar. Publiczność z początku zignorowała ten wybryk, sądząc, że obaj żandarmi są podchmieleni, ale gdy ci kazali orkiestrze pieśń tę ustawicznie powtarzać, starając się niejako sprowokować nią resztę publiczności, wtedy goście rzeczywiście opuścili wspomnianą restauracyę, przyrzekając sobie więcej do niej nieprzychodzić.

ZE ŚWIATA.

O równe prawa... Nikt się tak energicznie nieupomina o prawa kobiecego równouprawnienia z mężczyznami, jak Angielki. Ruch kobiet w tym kierunku jest olbrzymi, i codzień odbywają się tam potężne meetingi, gdzie oratorki w spódnicach z niezwykłą swadą przemawiają za równouprawnieniem dla słabych niewolnic. Tamtego tygodnia meeting taki odbył się i w Leeds, a przybył nań sam stary Gladstone, przemawiając dla tego ruchu jak najżyczliwiej. Ale emancypantkom mało było tego, co sędziwy polityk powiedział, i wystósowały do niego szereg interpelacyi, a gdy Gladstone na niektóre z nich nie umiał czy niechciał odpowiedzieć, wieco wniczki podniosły straszną wrzawę — a w rezultacie rzuciły się na Gladstona, aby go jeźli nie pobić, to w każdym razie dobrze wyszturkać i podrapać. Staruch z biedą wielką drapnął ze sali i z pewnością odejdzie mu na przyszłość ochota, mięszać się do ruchu kobiecego o równe prawa...

Wyprawa floty amerykańskiej na Ocean Spokojny. Przed kilku dniami wielka flota Stanów Zjednoczonych złożona z szesnastu pancerników najnowszego systemu wyruszyła na Ocean Spokojny. Przed jej wyjazdem prezydent Roosevelt odbył jej przegląd i pożegnał tę potężną armadę życzeniem, aby cało i zdrowo dojechała do San Francisco. Wszystkie wspomniane okręty są pospieszne i wiozą 925 armat. Na każdym z pancerników znajduje się telefon bez drutów, zapomocą którego można się porozumiewać w odległości 5-ciu mil. Największy z tych okrętów obejmuje 16.000 tonn, a najmniejszy 11.560.

Jedna t. zw. „bordata“ tj. wystrzał jednoczasowy ze wszystkich dział z jednej strony wszystkich tych okrętów, obliczony jest na 50.000 dolarów. Gdyby przyszło do utarczki morskiej, amunicya kosztowałaby 300.000 koron na minutę. Węgiel zużyty na przewiezienie floty do San Francisco, będzie kosztował 6,560.000 kor. Ciężary, jakie wiezie flota amerykańska, są większe od tych, jakie miała flota Rożestwieńskiego i Toga, razem wzięte. Personal składa się z 14.000 ludzi.

Cel wyjazdu tej floty na ocean Spokojny jest utrzymywany przez rząd amerykański w największej tajemnicy.

Szczególny sen. Dzienniki amerykańskie notują ciekawy wypadek. Niejaki Eugene Birminghan miał niedawno dziwny sen. Śniło mu się mianowicie, że jego przyjaciel, z którym w ciągu wieczora doskonale się bawił — umarł nagle. Gdy się obudził, pierwszą jego czynnością było, opowiedzieć swój sen telefonicznie przyjacielowi, gdy jednak na kilkakrotne doniesienie żadnej nie otrzymał odpowiedzi, poszedł do jego mieszkania. Tu zrozpaczona rodzina oznajmiła, iż przyjaciel jego zmarł w nocy na atak sercowy.

TELEGRAMY.

Ładny dziennikarz.

Budapeszt. Onegdaj odbywała się tu rozprawa przeciw rewolwerowemu dziennikarzowi Nolgradyemu z Wielkiego Waraždynu, który w przeciągu miesiąca ściągnął na siebie 40 procesów prasowych i dotychczas już otrzymał razem 4 lat więzienia. Podczas wczorajszej rozprawy Nolgrady dostał ostrego szału i musiano go odwieźć do domu waryatów.

Bijatyka w kościele.

Zagrzeb. W kaplicy w miejscowości Podsuredi przyszło podczas nabożeństwa do awantury z powodu nieporozumień o miejsca siedzące, która przerodziła się w ogólną bijatykę. Policya dopiero położyła kres gorszącemu zajściu i opróżniła kościół. Świątynię zamknięto i musi być na nowo poświęconą.

Złapał prokuratora.

Wrocław. Przed tutejszym sądem ławniczym odbywała się rozprawa przeciw dwom aresztantom Häusler i Weber. Po odczytaniu skazującego ich wyroku Häusler rzucił się na prokuratora i począł go dusić za gardło.

Straży niebyło w sali i dopiero publiczność pośpieszyła prokuratorowi na ratunek. Weber zbiegł w czasie zamięszania.

Sami złodzieje...

Paryż. W dyskusyi nad budżetem w senacie, senator Deloney zgłosił wniosek, aby osoby prywatne, którym powierzono likwidacyę dóbr kościelnych, zastąpiono urzędnikami, albowiem okazało się, że wielu byłych ministrów brało udział w tych operacyach i zabrało dla siebie przy tej sposobności skandalicznie wysokie majątki. Wniosek ten, który rząd zwalczał, został odrzucony.

Nadesłane.

Po pięćdziesiąt groszy za jeden wiersz petitowy.

Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI. WYDAWCA: STANISŁAW TOKARSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NIEJAWNEJ.
Z DRUKARNI „GOŃCA POLSKIEGO", TOKARSKI i BRANDOWSKI, POD ZARZĄDEM KAROLA DOROSZYŃSKIEGO. Papier z fabryki Tow. Akc. Braci Piaskowskich w Bielsku.